
Aneta Skarżyński
Wyspy Paprykarzowe

Aneta Skarżyński
„Wyspy Paprykarzowe”

Copyright © by Aneta Skarżyński, 2015
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o., 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana
w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
Korekta: Paweł Markowski

ISBN: 978-83-7900-361-7

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
http://wydawnictwo.psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

książkę tę dedykuję
ukochanej siostrze Wiolecie

SPIS TREŚCI

WSTĘP

Rozdział 1 9

NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

Rozdział 2 22

ELEONORA

Rozdział 3 38

WIADOMOŚĆ DNIA

Rozdział 4 47

WINDA I KARUSIA

Rozdział 5 57

WSPOMNIENIA

Rozdział 6 67

BRATEK

Rozdział 7 75

TERCET Z 1B

Rozdział 8 81

CO JEST MIŁOŚCIĄ?

Rozdział 9 88

WIEDZIEĆ CZY ZGADNĄĆ?

Rozdział 10 94

NADZIEJA

Rozdział 11 100

PRZYSIĘGA

Rozdział 12 112

PRAWDZIWA SIŁA

Rozdział 13 117
WSTRZĄS MÓZGU

Rozdział 14 123
DYLEMATY

Rozdział 15 129
POŻEGNANIE

Rozdział 16 136
BŁOGOSŁAWIEŃSTWO

Rozdział 17 140
KINIUŚ

Rozdział 18 144
KBKS

Rozdział 19 149
NIEZAPOMNIANY TOUR

Rozdział 20 161
BIEDNE DZIECI Z POLSKI

Rozdział 21 169
RADA

Rozdział 22 174
REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA

Rozdział 23 181
SOS

Rozdział 24 187
LEKCJA HISTORII

Rozdział 25 195
GRABIE

Rozdział 26 199
ŻYCZENIE

Rozdział 27 207
LEKCJA
Rozdział 28 211
TRUDNA MĄDROŚĆ
Rozdział 29 218
VENI, VIDI, VICI
Rozdział 30 226
PENSJA MOTULI
Rozdział 31 231
SPOTKANIE
Rozdział 32 237
WEJŚCIE SMOKA
Rozdział 33 242
AFEKT
Rozdział 34 247
EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI
Rozdział 35 252
TRUPI TAN
Rozdział 36 259
O-KUPA-CJA
Rozdział 37 271
JA TU TYLKO SPRZĄTAM
Rozdział 38 281
PRZYJACIÓŁKI
Rozdział 39 289
WALIZKA
ZAKOŃCZENIE 294

WSTĘP

Awitaj, witaj…! Co tak gały wybałuszasz? To ja, Aneta! To imię pasuje do takiego indywiduum, jakim nieodmiennie jestem od piętnastu lat. Wyglądam, hmmm…, może troszkę lepiej niż paskudnie, więc do krasawic trudno mnie zaliczyć. Czekam zatem na nieco więcej urody, lecz być może są to pobożne życzenia, skoro moja twarz od urodzenia przypomina miejsce zmasowanego ataku much. Podobno piegi ustępują z wiekiem, jak twierdzi babcia. Dobre sobie! Z którym wiekiem? Dwudziestym pierwszym? Czuję, że w obecnym, dwudziestym, to się chyba tego nie doczekam. Powoli również tracę nadzieję na cud zniknięcia kłapciaptego prawego ucha. To znaczy nie na zniknięcie samego ucha, ma się rozumieć, a na to, że nie będzie już tak szpetnie odstawać. No, bo gdy patrzę na swoje zdjęcia, odnoszę wrażenie, że jeszcze mocniej odstaje, niż przed paroma laty. Wedle medycyny chińskiej oraz tybetańskiej, uszy i nos rosną całe życie, a to oznacza, że za jakiś czas siebie nie rozpoznam. Koszmar! Włosów też nie mam za dużo, niestety, za to od ubiegłego roku jestem wyższa o całe dziewiętnaście centymetrów. Hura! Liczę sobie metr sześćdziesiąt cztery centymetry. Fajowo, prawda? I na tym koniec radochy. Szkoda… Ażeby moje nieszczęście z dzieciństwa było dopełnione – nadpobudliwość psychoruchowa jest we mnie wpisana na amen, niczym pięść w oczodół.

Powiem więcej – możliwe, że nigdy z niej nie wyjdę. Nie jest ona upierdliwa sama w sobie, jednak skutki uboczne owej przypadłości – pakowania się w naprawdę dziwne historie, którymi wprawiam w osłupienie całą rodzinę – i owszem! One sprawiają, że nieraz trudno mi wytrzymać samej ze sobą. A co mają powiedzieć moi rodzice albo siostra? O, biedni! Jednak w takich momentach najbardziej żałuję babci i dziadka, bo oni są z zupełnie innej epoki. Ręce nade mną załamują i modlą się. Czasami myślę, że Bóg daje przygodowe życie tylko po to, by posiadacz takiego losu służył przykładem „ku przestrodze innych", jakim być nie należy. Jeśli czytałeś Wyspy Naftalinowe, to pewnie wiesz, o czym mówię. Jeśli nie, to czy chcesz sprawdzić, co ze mną nie tak? Ejjj, odwagi! Przeżyjesz – to pewne. Nie ręczę za twój stan umysłu, że gdy dobrniesz do końca opowieści – to jeszcze pewniejsze. Jaka więc jest twoja decyzja? Poczekaj, odpowiem ci – skoro trzymasz tę książkę w dłoni, to znaczy, że drzemie w tobie „chciejstwo poznania", co w gruncie rzeczy stanowi zdrowy objaw ciekawości. Mylę się? Nie sądzę. To co, gotów? Azymut – Wyspy Paprykarzowe! Całaaa… naprzóóód!!!

Rozdział 1

NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

Nie ma to, jak trupnąć w lipcu, a dokładnie 14 lipca 1984, czyli w samym środku lata i beztroskich wakacji. I wbrew ogólnie panującemu nastrojowi trzeba się przeistoczyć w „pogrzebacze", to znaczy pogrzebników–żałobników. Podobno nic bardziej nie ożywia rodzinnych rozmów od świeżutkiego nieboszczyka. A jeśli jeszcze umiera on w dość nagłych okolicznościach, spekulacje na temat przyczyn jego zejścia z tego świata podsycają ogień ciekawości i każą snuć domysły, przeistaczając się dość często w upiorne opowieści. Właśnie tego doświadczamy. Rodzinka od kilku dni o tym rozprawia, szykując się na pogrzeb ciotki Eleonory. Przygotowują się, jak na czyjś ślub, a nie pochówek. Babcia wkłada dopiero co uszytą kreację w kolorze popielatym, dziadek nowe lakierki, wyciągnięte z przepastnego kufra, pamiętającego czasy II wojny światowej, a tata odkurza garnitur sprzed szesnastu lat, czyli z własnego ślubu. Tylko mama wydaje się mieć zdrowe podejście do tematu. Twierdzi, że ciocia Eleonora, to starsza siostra stryjeczna babci, czyli piąta woda po kisielu. W związku z tym nie zamierza się stroić, bo nie idzie na bal Murzynów. A co ja mam począć, szczególnie, że od paru dni wyglądam

niezbyt wyjściowo? Dwa dorodne pryszcze goszczą na moim nosie i sama już nie wiem, co bardziej wstrętne – krosty czy piegi. I bolą, co gorsza. Pryszcze, ma się rozumieć, bo piegi to mnie dziabią od urodzenia, zwłaszcza, gdy patrzę w lustro. Może je wycisnę?

– A ty co?? – mama zerka zza drzwi salonu. – Znowu coś wyczyniasz?

– Ja?? Nic.

– Jak nic, skoro widzę, że dłubiesz.

– To co mam robić?

– Nie wyciskaj, bo będziesz miała jeszcze więcej krost!

– Yyyy? Jeszcze więcej???

– Tak, tak! Gdy się je wydłubuje, to zaczynają się rozsiewać po całej twarzy.

– Ja nie chcę!

– To ich nie ruszaj.

Nie ruszaj, nie ruszaj… A jak mam się pokazać całej rodzinie z wrzodami na nosie? Dlaczego nikt nie rozumie, że ja chcę być choć trochę ładna? Moja siostra jest śliczna, nie dziwota, że wszyscy mówią „Oooo…, Wioletka jest ładna, a Aneta… to taki pryszczaty piegus…". I mam być z tego powodu szczęśliwa? Nie znoszę piegów! Nie cierpię!! I jeszcze do tego dwa wypryski na moim osobistym aparacie węchowym!!!

– Jest na nie jakiś sposób?

– Może bratek? – mama odkurza czeluści swej pamięci – Albo pokrzywa…

– Co takiego?

– Ziele bratka, to zioła oczyszczające, na krew i w związku z tym na krosty. Pokrzywa też.

– Zioła? Bleeee…, paskudztwo!

– Im mniej się będziesz gapić w lustro, tym mniej będziesz miała zmartwień. – kwituje mama, po czym dorzuca – Nie twój pogrzeb, a Eleonory i to na nią będą zwracać uwagę. Nie jesteś pępkiem świata.

– Oj, mamo!

– Nie mam racji?

– Przecież mam śpiewać na pogrzebie, więc i mnie będą się przyglądać.

– Słuchać, przede wszystkim słuchać. I na tym się skup. – mama ściąga mnie brutalnie na ziemię. – Wszystko gotowe? Masz podkład? Kaseta w magnetofonie?

– Zaraz…

– Zaraz, to taka wielka bakteria.

– Już, mamo, już szykuję…

Dobrze, niech będzie jakiś podkład. O, na przykład Ave Maria Bacha-Gounoda. Tylko gdzie on? Swoją drogą, i tak nie znam tej ciotki za dobrze. Jest Schubert… E, nie, Schubert jest trudniejszy od Bacha. Nie muszę się aż tak gimnastykować, bo i po co? No gdzie ten Bach…? Poza tym nie mam pewności, czy Eleonora się w grobie nie przewróci, bo o ile wiem, to klasyka jest poza gustem tamtej części rodziny. Trudno, coś zaśpiewać muszę. O, jest kaseta! Z jednej strony Bach, z drugiej… co? Perfekt? Dobra, niech będzie. Przewinę kasetę i zawczasu ustawię sobie tę pieśń. W kościele Wioleta kliknie na odpowiedni klawisz. Muzyka popłynie ku niebiosom, a na jej fali mój anielski sopran. Uwielbiam śpiewać, choć na pogrzebie będę występowała pierwszy raz. Śmiało mogę rzec, iż to mój pogrzebowy debiut.

– Krupinka, zapamiętasz? – pokazuję siostrze przycisk na nowiutkim magnetofonie marki Sharp. – Ten klawisz, o, ten dokładnie!

Szarpuś to prezent od rodziny z RFN-u. Jest tylko mój. Mam go od tygodnia i jeszcze go dobrze nie znam, ale wiem, że wspaniale się na nim słucha i nagrywa utwory z radia prosto na kasety. Klasa sama w sobie, nie to, co zdezelowana Jola 2. Ciocia z wujkiem obiecują, że gdy trochę pouczę się w nowej szkole niemieckiego, zaproszą mnie i Wioletę na kilka tygodni do Oberhausen i Essen. Może już w następne wakacje?

– Tak, tak… – potwierdza Wioleta.

– Dobra, a teraz cofnij, klawiszem z lewej strony.

– Już.

– Świetnie. I nic nie ruszaj.

– Ok.

– Na mój znak wciśniesz guzik, tuż przed śpiewaniem, jasne?

– Pewnie!

W kościele wszyscy siedzą ze strapionymi minami, jakby kochali ciotkę Eleonorę nad życie, a wiem, że co najmniej połowa smutasińskich jej wcale nie zna. Jednak żałować człeka wypada, a nawet trzeba. Jak twierdzi dziadek, „umarłego należy z honorami odprowadzić i szacunkiem złożyć w chłodnych ramionach Matki–Ziemi". Brrrr… co za ramiona! I ogólnie jakoś tu w kaplicy w środku lata śmiertelnie zimno. A może to duch ciotki tak wyziębia atmosferę? Babcia twierdzi, że gdy dusza pokutna odwiedza żywego, tego chłód przenika do szpiku kości. Teraz tak jest, lecz póki co, żadnego ducha nie widzę. Czuję za to dziwny zapach. Trupi? Pewnie tak, skoro nieboszczyk leży dwa metry ode mnie. Cisza grobowa dokoła, słychać

tylko przełykanie śliny i pochlipywanie jakichś bliżej niezidentyfikowanych babć i cioć. Najciekawiej wygląda ta w rondlu na głowie, znaczitsja – w toczku z woalką. Zgarbiona w pałąg beczy, niczym płaczka egipska. Czyżby psiapsiółka Eleonory? Sądząc z wyglądu, to czas najwyższy i jej się zbierać.

– Pani, a na co właściwie zmarła… – pani w zgniłozielonym sweterku przechyla się ku innej w czerni – … ta świętej pamięci Eleonora?

– Podobno na raka…

– Aaaa…

– I to w galopującym tempie. – odpowiada starowinka w czerni, w pocerowanych i sporo za dużych rajstopach, naciągniętych niedbale na chude nogi. – W zastraszająco galopującym!

– Co pani powie?

– Taaak, zabolało ją coś w kiszkach, poszła do lekarza, a ten skierował na badania do szpitala. Tam ją na stół położyli, otworzyli bebechy i… zaszyli, bo niby za późno.

– Popatrz, pani… – chuda staruszka w zieleni kiwa głową.

– Tak, ale nic jej nie powiedzieli, tylko wypisali, bo ponoć rak był już nieoperacyjny.

– I nieświadoma wróciła do domu?

– Tak. I nawet nieco lepiej się poczuła, myśląc, że idzie ku lepszemu. Planowała wakacje w towarzystwie przyjaciółki, o, tej tam, co siedzi z tyłu.

– Która to?

– A, o, ta, co teraz płacze.

Obie babcie oglądają się do tyłu na płaczkę egipską, a w ślad za nimi i inne osoby. Dama spostrzegłszy, iż jest obiektem

nagłego zainteresowania, wyjmuje chusteczkę w kratkę i dyskretnie wydmuchuje w nią zawartość swego nosa. Jednak niezbyt zgrabnie, gdyż drżące dłonie nie pozwalają jej dobrze utrzymać kawałka materiału. Jeden z wiszących dundli odrywa się i ląduje wprost na rękawie sąsiada.

– Niechże się pani opanuje! – starszy pan nie kryje obrzydzenia. – Yhhhh!

– To jest pogrzeb, proszę pana, to jest pogrzeb.

– Tak, pogrzeb, a nie łzawe „Przeminęło w wiatrem".

– No wie pan! – urażona dama w toczku ostentacyjnie odwraca głowę w drugą stronę.

– A „przepraszam", to nie łaska? – ogilany przed paroma sekundami jegomość strofuje damę, pokazując jej zasmarkany rękaw marynarki.

– Hm! – odfukuje dama. – Też coś!

Czuję, że za chwilę nie wyrobię i zacznę się rechotać. Coraz trudniej mi patrzeć ze spokojem na ludzi, którzy mają oczy czerwone od łez. Najciekawsi są ci, którym skurcze mięśni twarzy na tyle zniekształcają fizis, iż przypominają potworki na rynnach, zwane żygaczami. O, albo staruszka, która się cały czas drapie nerwowo po rękach.

– I co z tymi wakacjami? – staruszka w zieleni nie odpuszcza. – Pojechała na nie?

– Nie, bo się źle poczuła. Położyła się do łóżka w piątek i już z niego nie wstała. Dwa dni później zmarła, a znalazła ją jej przyjaciółka, o, ta z tyłu… – tu staruszka w czerni łapie za rękę tę w zieleni. – Tylko niech się pani tak nie ogląda, na litość boską!

I obie panie już z nabożną miną wpatrują się w trumnę.

– A to? – staruszka w zieleni świdruje oczyma w kierunku eleganckiego mężczyzny, stającego w tej chwili u wezgłowia nieboszczki – To kto?

– Gustaw, syn pani Eleonory.

Gustaw klęka przy trumnie, by ucałować dłoń matki, w której znajduje się książeczka do nabożeństwa. Jak można całować umarlaka? Niepojęte! Lecz cóż to?? Książeczka od nabożeństwa wypada, a różaniec zsuwa się po brzuchu ciotki Eleonory wprost ku wieńcowi u jej stóp. Ona się rusza? Czyżby cud wskrzeszenia?! Szelest szeptów idzie po kaplicy aż do ostatnich ławek. Zaczynam odczuwać dziwny niepokój. Czyżbym miała diabła za pazuchą? Babcia twierdzi, że dusza po śmierci wraca na chwilę do żywych, aby się z nimi pożegnać. Ciekawe, czy z tymi, których nie zna też? No bo ja nie jestem znaną ciotce osobą… Spoglądam na babcię, to na dziadka, ale oni skupieni na modlitwie nawet mnie nie zauważają. Raptem stykam się wzrokiem z jakimś chłopakiem, chyba w moim wieku. Jest rudy i piegowaty. Ha, jeszcze bardziej piegowaty ode mnie! A dobrze mu tak! Tylko czemu tak się na mnie lampi? A, pewnikiem się zastanawia, dlaczego stoję w bocznej nawie. Zaraz się dowie, jak usłyszy sopran koloraturowy. Dobrze, a teraz muszę złapać kontakt wzrokowy z siostrą, bo zaraz ruszamy. Wbita pomiędzy obraz Świętego Antoniego, drewniany postument z białymi liliami i klęcznik, Wioleta rechocze jak durna do sera, zasłaniając sobie usta dłonią. Ma poczerwieniałą twarz, a z oczu płyną łzy tłumionej radochy. Nie wiem, co jej dolega, ale czuję, że i mnie się udziela. Spokojnie, powinnam się opanować, skoro za chwilę debiutuję w roli śpiewaczki – pogrzebaczki. Muszę się odwrócić, bo inaczej zaraz wybuchnę.

Rudzielec będzie wdzięcznym obiektem do złapania powagi. O, matko! I on się śmieje? Wyszczerza swe niekompletne uzębienie w całej okazałości. A to co ci dopiero, amant bez jedynek! Pszczoła?

– Hihi! – zaczynam się dławić. – Hihihihihi!

– Uspokój się, dziewucho! – słyszę syk jakiejś staruchy, która wlepia we mnie swe szkliste, bladobłękitne gały osadzone w szaro-ziemistych wielkich oczodołach. Wygląda prawie, jak żywa! Jak mam się uspokoić? Przecież to niemożliwe. W dodatku Wioleta aż się zatacza w swojej niszy, tylko szczęśliwie nikt tego nie widzi. Za to ja jestem na widelcu. Wtem nadchodzi wybawienie. Ksiądz pociąga szarfę dzwonka na znak rozpoczęcia nabożeństwa żałobnego. Jestem gotowa do śpiewania. Wioleta nachyla się nad szarpusiem. Pstryk…

Chciałbym być sobą…
Chciałbym być sobą wreszcie

Jezus Maria!! Perfekt? Co się dzieje?? Dlaczego nie Bach-Gounod???

Chciałbym być sobą,
Chciałbym być sobą jeszcze…

Wioleta usiłuje wciskać guziki raz jeden, raz drugi, naprzemiennie, histerycznie machając do mnie drugą ręką. Ksiądz słysząc rockowy rytm dudniącej perkusji, unosi brwi tak wysoko, że aż okulary mu włażą na czoło. Mama z tatą patrzą to na mnie, to na Wioletę, z wielkim znakiem zapytania „o co chodzi?". A ja sama nie wiem! Ludzie drętwieją, z zaskoczeniem patrzą raz na księdza, raz na trumnę, raz na nawę boczną, z której dolatuje łomot przeboju ubiegłego, 83 roku.

…Jak co dzień rano, bułkę maślaną

Popijam kawą, nad gazety plamą,
Nikt mi nie powie, wiem co mam robić…

Muszę to wyłączyć, natychmiast! Podrywam się z miejsca i pędzę na drugą stronę przed samym ołtarzem, nawet nie przyklękając. Wierzę, że Bóg mi wybaczy ten nietakt. Klecha pewnie nie, ale trudno. Kit w oko z duchownym, teraz trzeba ratować sytuację! Kapłan zdejmuje okulary i już ma przemówić, gdy znów słychać:

…Szklanką o ścianę rzucam, chcę wychodzić
Na klatce stoi cieć, co się boi…

Jest! Pstryk! Cisza. Ufff…, jak dobrze… Teraz tylko muszę odwrócić kasetę i zaśpiewać Ave Maria. Pstryk!

…Nawet odsłonić, miotłę ściska w dłoni
Ortalion szary chwytam za bary
I przerażonej twarzy krzyczę prosto w nos!…

Co znowu?? Matko jedyna!!! Muszę wyłączyć całość. Natychmiast! Pstryk! Cisza… I co teraz? Śpiewać bez akompaniamentu? Dobra, niech się dzieje wola nieba! Już!!!

Ave Maria, gratia plena,
Dominus tecum, benedicta tu in mulieribus,
et benedictus, fructus ventris tui Jesus…

To mój głos? Niemożliwe! Toż to klasyczne kozie wibrato! Koszmar jakiś! Jedna zwrotka za mną, może w wokalizie nieco się uspokoję? Tylko jak, skoro serce wali, jak oszalałe? Widzę ciemność… Nie mam pojęcia, co się dzieje… I jak to wszystko możliwe…?

…Sancta Maria, Sancta Maria, Maria!
Ora pro nobis, nobis peccatoribus, nunc et in
hora, in hora mortis nostrae. Amen!

Koniec. Nareszcie! Kapłan rozkłada ręce i intonuje:

– Pan z wami!

– I z duchem twoim! – odpowiadają wierni.

Teraz mogę się już tylko zapaść pod ziemię. Szkoda, że posadzka nie bardzo chce się rozstąpić… Może w głębi nawy bocznej jakoś dojdę do siebie? Wioleta patrzy na mnie krowim wzrokiem, skubiąc zębami skórki po wewnętrznej stronie warg. Widać, że i ona nie bardzo rozumie sytuację.

– I co teraz?

– Damy drapaka! – Wioleta wskazuje bordowo-granatowy dywan wiszący na ścianie.

– Mamy nim odfrunąć?

– Nie-e! – Wioleta odchyla dywan, a za nim ukazują się stare drzwi. – Wystarczy wyjść.

Spoglądam z obawą na długi metalowy pręt, utrzymujący dywan na ścianie, a przede wszystkim na zaczep, który się niebezpiecznie porusza.

– Uważaj, bo spadnie!

– E tam… – i Wioleta naciska na klamkę, lecz ona ani drgnie.

I jeszcze jedna próba… W tym momencie zaczep odrywa się od ściany. Pionowy pręt utrzymujący dywan spada z łoskotem na postument z kryształowym wazonem, przewracając go na posadzkę. Szkło z hukiem roztrzaskuje się, woda wylewa, zaś białe lilie lądują tuż przy trumnie ciotki Eleonory. Dywan z metalowym prętem, uderzając w trumnę, spada tuż za postumentem. Jedni ze zgrozą w oczach rozglądają się, jakby usiłowali ogarnąć, co tu się dzieje. Inni zaś w osłupieniu stoją i nic nie mówią. Kapłan przerywa modlitwę.

– Czasem zdarza się, że siły nieczyste powodują człowiekiem. Nieszczęśnik, znajdujący się pod ich wpływem, jest niezdolny do czynienia prawości. – tu ksiądz ciska spojrzeniem w stronę bocznej nawy, potem w stronę wiernych. – Czy te dziewczęta do kogoś należą?

Pięknie! Nic nas już nie jest w stanie uratować, nawet modlitwa wstawiennicza do ciotki Eleonory…

Rodzice bez słowa wyprowadzają nas na zewnątrz kościoła. Sroga mina taty mówi sama za siebie.

– Zdurniałyście do reszty?!

– Aneta kazała włączyć guzik, to włączyłam, ale nie mam pojęcia, dlaczego szła nie ta muzyka… – Wioleta wyrzuca naprędce wszystko, co wie, jakby chciała przegonić samą siebie. – Nic nie rozumiem!

– Który guzik? Ten? – tata zerka na siostrę, która potakuje głową.

– To jest autorewers! – ton mamy głosu wyraźnie wykazuje, iż poziom jej zdenerwowania drastycznie wzrasta. – Ty tumanie!

– Autorewers!! – tata cedzi przez zaciśnięte usta. – Funkcja automatycznego odtwarzania drugiej strony kasety!

– Ale my nastawiłyśmy na „stop"… – usiłuję to zrozumieć.

– To nic! Po zastopowaniu muzyki i ponownym włączeniu, kaseta może się przewijać w drugą stronę, jeśli nie wyłączysz autorewersu! – tata mówi teraz bardzo głośno. – Przecież wam to pokazywałem, tak? A w ogóle, co wyście nawyczyniały z tym wazonem i dywanem?? Pewnie to też nie wasza wina?

– My tylko chciałyśmy wyjść… – Wioleta przyznaje się do wszystkiego, jak na spowiedzi. –Dywan się zerwał i spadł na ziemię…

– Sam spadł, tak??

– Nooo, tak. – potwierdzam słowa siostry. – Sam…

– Dlaczego zawsze wszystko się „samo" dzieje? Niewiniątka! Baranki boże, myślałby kto! Samo się psuje, samo spada, a one niczemu nie są winne!

– Wystarczy was na chwilę spuścić z oczu i nieszczęście gotowe! W kogo wyście się wdały? Co za diabeł w was tkwi? Przemyślicie sobie wasze postępowanie, ooo, przemyślicie! Już ja tego dopilnuję! Będziecie miały na to dużo czasu. Od dziś – zakaz oglądania telewizji! Nie będzie kina, nie będzie obiecanego cyrku, słowem – niczego, aż wam oleju w głowach przybędzie! – tata jednym tchem wyrzuca z siebie całą złość. – Wstyd nam tylko przynosicie! Wstyd!!

Siedzimy w samochodzie i wcale nam nie do śmiechu. Rodzice przepraszają rodzinę. Niektórzy kiwają z ubolewaniem, drudzy ze zrozumieniem, inni zaś ze współczuciem. Wstyd, nie da się ukryć, wstyd… Jednak to nie tylko nasza wina. Przecież my się naprawdę staramy, przysięgam! A im bardziej się staramy, tym gorzej wychodzi! Tak na ludzki rozum trudno to ogarnąć. Może nigdy nie dotrzemy do prawdy o nas samych? A jeśli zrozumienie przyjdzie po śmierci?? Podobno po „drugiej stronie" ma się dużo czasu na rozpamiętywanie ziemskiego istnienia. Tylko, że Wioleta i ja nie wybieramy się jeszcze na tamten świat. Musimy się przecież nacierpieć, nim trupniemy. Babcia twierdzi, że cierpienia i nieszczęścia wymagają znacznie więcej odwagi, niż śmierć. Racja! Do tego przysłowie pszczół mówi, że „nieszczęścia są najlepszą wagą do mierzenia przyjaźni". Wedle tej mądrości jedno jest pewne – mam w Wiolecie najwspanialszą przyjaciółkę. Taką „na śmierć i życie", zgodnie

z dniem dzisiejszym, obfitującym w śmierć i życie. I nie straszne nam ciotki Eleonory, zlatujące dywany, pękające wazony, a nawet Perfekt. Razem poradzimy sobie z niejednym jeszcze nieboszczykiem, drzwiami, liliami czy autorewersem, a co!

– Krupcia, jak to szło? Chciałbym być sobą…

– Chciałbym być sobą, chciałbym być sobą wreszcie. Chciałbym być sobą, chciałbym być sobą jeszcze…

– To teraz niech będzie tak: chcemy być sobą, chcemy być sobą wreszcie!

– Dobra! Chcemy być sobą, chcemy być sobą jeszcze!